Zdzisław Kazimierczuk

Niewolnice

NALEŻY się wam wszystko najlepsze: dom i miłość, i nauka, i praca. Każdemu człowiekowi to się należy. Po co więc zaprzątać sobie głowę tym, co każdy rozumie? A może nie każdy? Jak się tak dobrze porozglądać, to łatwo dojść do wniosku, że chyba nie każdy. Dlatego właśnie chcemy z wami porozmawiać o miłości i o pracy, o nauce i o domu. Nie dla samej pustej gadaniny, ale po to, żeby było jedno i drugie, i to i tamto.

Bo przecież w rzeczy samej wszystko to razem możecie mieć, więc wy pewnie nie chcecie niczego? Jakże to jest naprawdę? Odpowiedzcie szczerze, cygańskie kobiety!

Przykra jest — przyznaję bez przemilczenia tej prawdy — przykra więc jest świadomość, że wy same nie przeczytacie tych słów; obca wam jest najprostsza umiejętność składania czarnych znaków na papierze w zrozumiałe dźwięki. Dotąd umiałyście zaledwie odczytywać znaki taborowe, drogowskazy jakieś nazywane śperami. Lecz pomyślcie, cóż to są śpery. Wiechcie słomy, które wiatr może poszarpać albo i zgłodniałe bydlę zjeść... Czyż nie tak jest? My już nie pytamy o drogi, jakie wskazywałyby wasze taborowe śpery. Pisała o nich Papusza, którą wy wszyscy obłożyliście klątwą przy migotaniu leśnych ognisk. Śpery przez nią wskazywane były dobre, ale wyście o tym nie chcieli słyszeć. Papusza pisała:

Ja jestem Cyganka biedna,
nie mam szczęścia, nie mam nic.
Nieszczęśliwie moje życie żyję,
bo nie umiem dobrze czytać
Ani ładnie pisać.

Prawda, że to są słowa Papuszy? Mądrej Cyganki. Dziś już co rozumniejsze z was pojmują, że śpery Papuszy są trwalsze niż wiecheć słomy. Dobrze i to, że przynajmniej wasze dzieci chodzą do szkoły. Dlatego choć wy same czytać nie umiecie, one pomogą nam się porozumieć, mamy nadzieję. Nie brońcie zatem dzieciom chodzić do szkoły, abyście nie musiały przez swój upór płakać później na stare, zgrzybiałe lata. Wszak tabor i las są już za wami. Co prawda to prawda. Nikt nie zna sposobu, żeby zmusić słońce do wędrówki w odwrotnym kierunku. Skończonej pieśni też zazwyczaj się nie powtarza. Tym bardziej, jeśli pieśń na to nie zasługuje.

Taboru więc, jak powiedzieliśmy, nie będzie. Źle to czy dobrze? Oj, pewnie źle, skoro aż tyle lamentu słychać wokół opuszczonych wozów. Podnosi się lament, to chyba dobrze zrobimy, jeśli wysłuchamy, o co naprawdę chodzi? Może niesprawiedliwość jaka spadła na wasze głowy?

Poprosiliśmy Cygana, żeby mówił. To jest mądry Cygan, wcale nie jakiś tam oczajdusza. No i co on powiada? Dokładnie powiada tak oto:

— Dziś Cyganie pracują, ale na samo wspomnienie lasu, swego rodzinnego domu, serce przestaje bić w piersiach. Dopiero teraz zrozumieli, co znaczy las. Dziś mieszkają w nowych domach, dzieci chodzą do szkoły, ale mimo to przed nimi rośnie las, w którym wychowali się ich ojcowie i matki, w którym rodzili się oni...

Skrzętnie zanotowaliśmy każde słowo Cycami. Ładnie to wszystko jest powiedziane, prawie jak w pieśni. Ale Cygan jeszcze nie skończył, bo dalej powiada tak:

Starzy Cyganie nie mogą się przyzwyczaić do trybu życia osiadłego. Ich życiem i marzeniem jest las, poza nim nic nie widzą. Są wypadki, że z tęsknoty za lasem stary Cygan zapada na ciężką chorobę. Cygan żyjący sześćdziesiąt lat z tęsknoty za lasem ciężko zachorował i po dwu tygodniach choroby – zmarł. Są jeszcze inne wypadki, że Cyganie ciężko chorują za lasem.

Nie chcieliśmy zaprzeczać, że to nie las żywił Cyganów i nie on ich ogrzewał. Nawet dzieci wiedzą, jaka to wielka nieprawda. Zmartwiliśmy się natomiast chorobą. Zaczęliśmy pytać lekarzy, zawracaliśmy im głowy naszą ciekawością, czy to prawda? Mówili – nieprawda! Szukaliśmy sami tych chorych. Może chorują w tajemnicy? Żeby nie skłamać, to musimy powiedzieć rzetelnie, że owszem, znaleźliśmy ich, wielu znaleźliśmy. W cygańskich mieszkaniach rozmawialiśmy z cierpiącymi. Pewnie i wy pamiętacie te nasze rozmowy, boć to wasi najbliżsi, ci chorując. Mieli wtedy bardzo zmęczone twarze. W izbach drapał nam nozdrza ostry zapach lekarstw. Chorowali naprawdę. Nie ma co kpić z ludzkiego cierpienia, ale należy je poznać i pomóc, jeśli to tylko jest możliwe. Lekarze to czynią. Bo przecież gruźlica to jest poważna choroba, wrzody na żołądku — także reumatyzm, astma i co tam jeszcze, też nie wesele. Choroby te zagnieździły się w ich ciałach dość dawno, w lesie, w przeciekających podczas deszczu namiotach, z marnego odżywiania, słowem z tego wszystkiego, co mógł dać tabor. Taka jest prawda i chociaż niemiła, nie ma co jej ukrywać.

Ale co na to wy, cygańskie kobiety? Mówcie, czy wy także chcecie nieść swoje dzieci w leśny mech, wilgotny i zimny? Czy was także ogłupia tęsknota za taborem, który powiedzmy sobie szczerze, nie przeżyłby bez was ani tygodnia'?

Cyganka opowiada:

— Czy w lesie, myśli pan, to był taki raj? Żeby dać jeść dzieciom, to musowo było od rana chodzić i prosić. Jakby Cyganka nie wróżyła to i Cygan by nie zarobił... Co ja mam z tego wszystkiego? Żylaki na nogach, nogi mam chore... Tyle, że człowiek się przyzwyczaił.

Zaś inna Cyganka:

— Bida w domu, patrzcie, panie, jakie to życie! Nieraz i pies ma lepiej.

— Mąż pracuje?

— A Już! Nie chce pracować...

— Chory może?

— Zdrowy, gdzie tam chory.

— To czemu nie pracuje, przecież coś musicie jeść?

— A co ja, kobita, z chłopem poradzę? Żaden Cygan nie chce pracować i tyle. Co ja mogę zrobić? Muszę chodzić, bo inaczej to byśmy pomarli z głodu. Nie ma rady na chłopa... Mój z początku chodził do roboty na drogach, ale rzucił robotę. Było ciężko i mało płacili… Pytacie, panie, czy nam lepiej? Mnie tam wszystko jedno, tyle, że mam to mieszkanie. Ano i dzieci chodzą do szkoły, to jest dobre, niech chociaż dzieci nic będą takie głupie, jak ja.

Jeśli już dojść z wami do szczerości, to każdej po kolei jest niby wszystko jedno, gdzie się znajduje. W lesie czy tu, we własnym mieszkaniu. Dla was podobno niewiele się zmieniło. Zaledwie macie mieszkania, a dzieci naukę. Jeśli nawet tylko to, czyż to mało? Niektóre narzekają:

— Gdyby jeszcze Cyganie zaczęli pracować...

Słusznie, lecz kto ich do tego ma nakłonić? Podpowiadacie — władza! Chyba jednak mylicie się bo władza, skoro już o niej mowa, proponuje pracę każdemu, kto wyraża do pracy ochotę. Owa władza ma też obowiązek nie pozwalać kraść, wyłudzać, łamać przyjęte przez ludzi prawa. I nie pozwala. Więc powtórzmy pytanie, kto ma nakłonić Cyganów? Kto ma do tego większe prawo, jeśli nie wy cygańskie kobiety?

***

Człowiek rodzi się z rękami do wykonywania różnych czynności, tylko nie do przywłaszczania cudzego trudu. O tym niby każdy wie. Rodzi się człowiek z rękami jednakowej długości, więc to nie prawda, że wasze są nierówne, co nie pozwala pracować. A jeszcze komu jak komu, ale wam. Cyganki, lenistwo jest od dziecka obce. Tyle tylko, że nie zawsze to, czym przyszło się wam zajmować było i jest uczciwe. Przypominam sobie zdarzenie bodajże z Kraśnika. Cyganka pracowała w szpitalnym grodzie. Chwalili ją wszyscy za rzetelną robotę. Któregoś dnia ludzie zobaczyli, jak wraca po pracy, kupowała w kiosku dwa pomidory. Dziwili się, jak ona te dwa pomidory rozdzieli na gromadkę dzieciaków. Był koniec lata, pomidory wtedy kosztowały bardzo tanio. Cyganka po prostu nie miała pieniędzy. Mogła brać z ogrodu, nikt by jej tego nie zabronił. Wstydziła się prosić. Poszliśmy do niej zapytać, czy prawda z tym kupowaniem. Nie zaprzeczyła. A kiedy na podwórzu słuchaliśmy gorzkich cygańskich żalów włączyła się do rozmowy:

— Ja się nie boję żadnej roboty – mówiła z właściwym sobie uniesieniem głowy. — Pójdę nawet ziemię tymi palcami orać, ale niech idą wszyscy, niech będzie sprawiedliwość. Ja uczciwie zarabiam dla swoich dzieci, wcale łatwo mi nie jest. Nie ma kto u mnie pracować, ja wdowa. No dobrze, ale jak ja wdowa to muszę kraść? A co robią inni? Proszę bardzo, nic nie robią, hulają i kieszenie u nich wypchane pieniędzmi. Jak już jest takie prawo, że Cyganie nie będą jeździć , to czemu nie ma takiego, żeby ich wszystkich zapędzić do roboty? No czemu?

***

Wy mówicie kamlipen. Mniej więcej znaczy to - miłość. W słowie miłość jest bardzo ludzka, upragniona treść. Wobec tego i wasza kamlipen to powinna być miłość. Taka, która każe pomagać drugiemu człowiekowi i także taka, która przynosi chwile tkliwości, kiedy mrok wieczoru omotuje dwoje ludzi… A jakże to u was jest, Cyganki? O miłości rozpowiadacie za pieniądze, dlatego chcecie, by wam uwierzono, że zjawiła się nagle w talii kart, których – o ironio! – nie rozkładacie jednak nigdy dla siebie. Wróżba bowiem to wyuczony wiersz, ułożony tak, by zawsze był prawdopodobny, czasem nawet bywa prawdopodobny, ułożony tak, by zawsze był prawdopodobny. Kamlipen z kart wciąż jest łaskawa, płaca wam za to. Inaczej wygląda ona w waszym życiu. Przyjrzyjcie się szramom na swoich plecach. Dlaczego, powiedzcie, cygańska kamlipen jest przygłuszona świstem bata? Pewnie to dlatego, że wasze falujące kiecki posiadają nieczysta moc, jakby na ten przykład uszyte były z diabelskiego jakiegoś płótna. Niechże która dotknie choćby rąbkiem spódnicy miski czy talerza, to przecież żaden Cygan nie zechce już nigdy z nich jeść. Nie wolno!

Kobiece skalanie, mageripen, co? Pies pożyteczne zwierzę, aleć przecie nie człowiek, no więc pies to może wsadzić nos do garnka ze strawą i Cygan na to nie plunie, zje! Ale wasze spódniczki – parszywe!

Znacie ostre smagnięcia bata być może i dlatego, że odkąd Cyganie są Cyganami żadna z was nie ma prawa usiąść przy stole, jeśli przypadkiem siedzą już przy nim mężczyźni. Z jakiejś ludzkiej przyczyny zgadzacie się na taki obyczaj. Cyganki urodzone w kraju, w którym kobiety zasiadają w rządzie, kierują mądrymi maszynami, leczą ludzi i mają prawo być szczęśliwe.

Nasłuchaliśmy się tu i ówdzie skąpych cygańskich zwierzeń a teraz możemy je głośno przypomnieć, żeby ludzie wiedzieli, z jakiej gliny są utoczone wasze smagłe ciała. Nie tak bardzo dawno, może dwa a może trzy lata temu, chciał Cygan - ojciec wydać córkę za mąż. Zdarzyło się – przyjechał ktoś w swaty. U was się jeździ w swaty. Przyjechał tak, jak do sklepu. Cyganie pili, handlowali panną. Jej samej nikt o zgodę nie pytał, żadnej z was przecież nie pytają o to. No niby po co? Tym razem jednak handel nie był w smak Cygance, miała chłopca…. W tajemnicy wymknęła się z domu do niego. A potem?

Trzej bracia siedzieli za stołem, obok ojciec i swaty, kiedy weszła do izby. Przerwali ucztę, wstał brat. Kurzyło mu się z czuba. Wyszedł do stajni. Wrócił z rzemiennym naszelnikiem od koni. W milczeniu zdzielił nim siostrę przez plecy! Wstał drugi brat. Bez słowa uderzył ją pięścią w twarz! Ojciec tymczasem syczał przez zwarte szczeki: bij! Podbiegła matka bronić dziewczyny. Wtedy wstał ojciec. Oberwało się i matce kulakiem w zęby! Na drugi dzień musiała dziewczyna jechać do ginekologa. Ojciec powiedział:

— Masz mi przywieźć zaświadczenie, żeś jeszcze nie tknięta. Jak będzie inaczej, to cię zatłukę jak psa…

Wy się nawet nie dziwicie Cyganowi, prawda? Chciał sprzedać dobry towar. Taki jest nasz zakon – tłumaczycie z rezygnacją. A czyście nie pomyślały przypadkiem, że głupi jest zakon, który rzuca was na kolana, zeszmaca, zamienia w zwyczajne wycieruchy? Bo wy tylko dla chleba jesteście cwane, ale faktycznie to nic innego, jak lękliwe niewolnice. Lęk nieustannie wyskakuje z waszych oczu, nie trzeba głęboko w nie zaglądać, żeby go wyłuskać stamtąd niczym cierń ze zranionej nogi. Co drugi wasz życiorys ocieka łzami, a wy mówicie: kamlipen!

Było to jeszcze w lesie. Cyganka nazywała się Cchindy. Mąż kupił ją za duże pieniądze. W jej urodzie było coś z błyskotki. Drogo kosztują prawdziwe błyskotki, to wiecie. Cygan zrobił zresztą niezły interes, jako że Cchindy umiała nieźle zarabiać. Sam był pijaczyną, też dla was nie nowość. Bijał żonę, a temu nikt w taborze już się nie dziwił, takie są zwyczaje. Za co bił? Za to, że wróciła zmęczona, że oprócz pieniędzy nie przyniosła wódki, że słonina to nie kiełbasa, że zaszło słońce a jeszcze powinno świecić i tak dalej. Jej losy opowiedział nam Cygan, który jeździł z tym samym, co Cchindy, taborem. Kończyło się lato, zaczynał dokuczać jesienny chłód. Las szumiał, mężowi w głowie również szumiało od wódki, kiedy do budy wróciła Cchindy. Była w ten dzień chora.

— Nareszcie przyszłaś, suko! A mnie tu smutno bez ciebie. A jak mi smutno to ty mi zaśpiewaj.

— Daj spokój, słaba jestem jakaś.

— Śpiewaj!

— Innym razem, dziś nie mogę.

Cygan zabulgotał pod nosem, przeżuł w zębach jakieś bluźnierstwo, oparł nogę o nogę, zdjął buta z przybitą na obcasie podkówką. Od uderzenia upadła na kolana. Drugą, obuta noga kopał w brzuch. Co mogła, waszym zdaniem zrobić? Płakała i… śpiewała.

Rano wypędził ją do miasta kraść. Przywlekła się do lasu znowu na wieczór. Cygan siedział przy ognisku razem z innymi. Wrzasnął:

— Nie puszczę cię do budy, suko, śpij w krzakach!

Chciała coś powiedzieć, nie zdążyła. Chwycił płonące polano, rzucił jej w twarz. Powiedzcie, czemu nikt nie stanął w obronie Cchindy? Czemu nikt słowa nie powiedział? Nie miał prawa to także zakon. Mężowie mogą czynić z wami, co im tylko strzeli do głowy. Mogą was przegrać w karty, łupić co dzień ze skóry, takie jest zakon. Cygance ktoś wprawdzie radził, żeby uciekła. Powtarzała:

— On mnie znajdzie i zabije!

Niewiele możecie powiedzieć o miłości z przybrudzonych kart. Boć przecie wasze kamlipen nie znaczy właściwie nic.

***

— Jak długo Cyganki będą wróżyć? – poprosiliśmy Cygana, żeby odpowiedział.

— Aż wyjdzie zarządzenie, które im tego zabroni.

— Bez zarządzenia nie przestaną się poniżać?

— Chyba nie…

Rozmyślał trochę, aż zebrał w głowie inne myśli:

— Wróżba nie może zaginąć u starych Cyganek. One wróżyły i pragną nadal wróżyć. Natomiast młode Cyganki i Cyganie bardzo prędko przyzwyczajają się do życia normalnego. Wiedzą, co znaczy kino, radio, telewizja, pragną przystosować się do życia całej młodzieży. Można zobaczyć jak młode Cyganki nie chcą wróżyć, ubierają się w krótkie spódnice, włosy noszą krótko strzyżone. Nie zwracają na to uwagi, że starzy Cyganie krzyczą i przeklinają.

Młodzi mają wreszcie po dziurki nosa egzotycznych karawan. Świat jest ciekawy, z lasu tego nie widać. Żeby świat poznać i cieszyć się nim, trzeba mieć dom, pracować, uczyć się także trzeba. Oto chodzi młodym, czyż nie tak? Ale przyzwyczajenie do normalnego życia – zdawałoby się, łatwa sprawa – wymaga przede wszystkim poprzewracania starego porządku. Mimo wszystko pierwszeństwo tu należy przyznać Cygankom.

Bunt? Ano chyba bunt! Zapewne każdy człowiek, jeśli ma w głowie wszystko dobrze ułożone, zapyta – czyś można nie chcieć normalnie żyć? Widocznie można. Jeden z dawnych taborowych wójtów, grzeczny i trochę nawet oczytany Cygan, dał nam niedawno przykład obrony tego nienormalnego życia. Jego zdaniem, bardzo mądrej i słusznej obrony:

— Ludzie dzielą się na zwyczajnych i dzikich – przekonywał. Zwierzęta też są dzikie i zwyczajne. Dzikich zwierząt nie da się tak dobrze oswoić. Dlatego żaden z nas nie przyzwyczai się nigdy do takiego życia, jak inni ludzie. Cyganie zawsze byli dzicy i nigdy się nie zmienili, to teraz jak mogą to zrobić? Szkoda tylko, że rząd na darmo traci pieniądze. Nic z tego nie wyjdzie. Nam zawsze wystarczy las, świeże powietrze i nic więcej. Nie chcemy ani mieszkań, ani pomocy rządu….

Ejże! O co właściwie chodzi wielmożnemu Cyganowi? Pewnie o nie więcej, a jedynie o to, że utracił władze i teraz nie ma widoków na jej odzyskanie, że wcześniej czy później

musi zabrać się do roboty i to właśnie zwyczajnej. To po to on tak mówi, a wasz jego słowa nie obrażają przypadkiem? Dzicy – powiada – jak zwierzę!

Tymczasem wejdźmy jeszcze raz w pierwsze z brzegu drzwi cygańskiego mieszkania. W schludnej izbie stoi kilka skromnych mebli, ofiarowanych przez ludzi. Na własne w tym domu jeszcze za wcześnie.

— Proszę, proszę do środka – uśmiecha się dziewczyna.

Na podłodze bawi się grubiutkie cchaworo, cygańskie dziecko, o tyle nietypowe, że na głowie sterczą mu zupełnie białe loczki. Dziewczyna szybkimi ruchami nakłada mu czerwone buciki, „żeby nie zauroczyć". Jest przesądna. Ma lat siedemnaście i jest już mężatką. W rodzinie wołają na nią Szarlotka. Urodziła dwoje dzieci. Pierwsze umarło w lesie.

Przy okazji powiedzcie, cygańskie kobiety, jeśli potraficie powiedzieć, ile waszych dzieci umarło w lesie? Nikt tego nie liczył, to jest jasne. Wystarczy jednak zapytać matek, które tam rodziły. Powiedzą każda za siebie. Włosy się zjeżą na głowie od tego, co powiedzą…

Drugie cchaworo Szarlotki ma dopiero nie więcej niż pół roku. Właśnie dziś dostało zastrzyk przeciw krzywicy. Rozwija się dobrze. Mamusia niepokoi się jednak, bowiem dziecko ma skazę.

— Nie pomagają żadne maści, niech pan powie z czego to może być? Może mleko od krowy mu szkodzi?

Więc pójdzie jeszcze raz do lekarza, ma dobrze panią doktór, spotykają się na takich tam pogawędkach dla kobiet. Pani doktor opowiada ciekawe rzeczy, o których Szarlotka nigdy przedtem nie słyszała. Bo i skąd? Drzewa nie szumiały na ten temat w żadnym lesie. Ani jej mąż nie słyszał, no to opowiada mężowi, a ten bardzo cieszy się z mądrości żony… Co do dzieci, to mają już swoje postanowienie. Chcą mieć dwoje albo troje. Na razie niech rośnie to jedno, trzeba je wychować a oni są jeszcze bardzo młodzi… i niezamożni.

To jest małżeństwo tak jakby nie cygańskie. Żyją bardzo zgodnie. Taką opinię głoszą sąsiedzi. I znowu to, o czym mówimy, jest bardzo zwyczajne, jednakże wy, Cyganki, dobrze rozumiecie że dla tych dwojga owa zwyczajność jest nowym zupełnie zżyciem, odwróceniem twarzy w całkiem przeciwną stronę.

Zostawmy mieszkanie Szarlotki. Widzieliśmy – jakoś dziwnie nie pasuje ono do tego wszystkiego, co powiedział dawny wójt taboru.

***

Do czego to podobne? – pytaliśmy siebie nawzajem.

Dostaliście mieszkania, proponują wam pracę, a wy bimbacie, trąbicie na nosie, do czego to podobne?

Obsiadły nas czarne wątpliwości, złość czaiła się pod skórą, ledwie ukrywana. Odpowiadali Cyganie:

— Myśmy nikogo o to nie prosili, czemu nie puszczą nas do lasu? Nie pozwalają wędrować, a jeść też nie chcą dawać. Do czego to podobne?

Opuszczaliśmy ręce bezradnie, nikt rozsądny nie chce dobrowolnie uciekać do lasu, czy oni potracili resztki rozumów? Przygryzaliśmy wargi w gniewie, aby nie chwycić za biczysko bata i nie lunąć po cygańsku przez środek zdrowych, zaczepnie uśmiechniętych

twarzy, rozdrażnienie staliśmy naprzeciw siebie, gotowi do draki. Z jednej strony mieliśmy wozy leżące na wsiach bez kół, z drugiej był las. Podeszła wtedy Cyganka:

— Powolutku panie, pójdą do pracy wszyscy, albo my kiedy od nich pójdziemy. A co sam chłop bez baby może?

I śmiała się głośno aż drgały jej piersi pod ciasno spiętą bluzką.

— Co tu dużo gadać, dobry czas przyszedł, ciężki dla Cyganów, ale dobry. Trzeba tylko jeszcze trochę poczekać. U was panie, nerwy na wierzchu. Może i dobrze, bo tyle nerwów, co od ściany do progu, ale trzeba poczekać, cierpliwie… Nasza w tym głowa. Czy to teraz nie ma porządnych Cyganów? Są. Z czasem wszyscy będą tacy….

Czyżby bunt był prawdą? Podnosicie nareszcie otłuczone plecy, bunt – nic innego, macie dość poniewierki, bydlęcego traktowania, padania twarzą w leśny mech, a to przecież jest bunt, jawne łamanie zakonu. Do czego to podobne? – złe słowa bulgoczą w gardłach wielu Cyganów. Oj, tak się nam wydaje, że byłby bunt wielki, gdyby to było od razu możliwe. Ale cóż robić! Jak rzucić karty w kąt, skoro mąż, ojciec, bracia – nie mają ciągle ochoty do pracy? Tradycja chce, żeby Cyganka dbała o pełny garnek. Dzieciom często smutnieją oczy z głodu, niekiedy zżera je choroba, co robić, rzucić karty w kąt? Mój Boże, nie ukrywając prawdy trzeba wyznać, że i wyście też nie licho przesiąkły łazikowaniem, choć wiadomo – nie ze szczerej chęci. Na złe, bo przecież nie na dobre idźcie „chodzić", jeszcze zastrachane nieczystością swojej cygańskiej kobiecości, pozornie cwane ale z lęku wciąż trochę posłuszne konającym prawom taboru. Złym prawom!

Mimo wszystko wygląda przecież na to, że wyście dobrze zrozumiały czas rozstania z taborem. Jak czas wielkiej okazji. Dane jest wam prawo do własnego mieszkania, i pracy, i nauki, a także prawo do ludzkiej miłości, bowiem to wszystko od dawna wam się należy.

Wasza w tym głowa, jak z tego skorzystacie.

Pierwodruk: „Kamena", Nr 15 (348), 1966, s.1